

Mój Pierwszy Raz - Samotnie za koło polarne.

Raczej z konieczności, niż przyjemności, bardziej z przypadku niż rozsądku, popłynąłem w samotny rejs. W zasadzie miało to być zwykłe przeprowadzenie jachtu z portu do poru, wzdłuż całego zachodniego wybrzeża Norwegii, z Bergen, za koło polarne do Bodo.

Trasa ciekawa, widoki wspaniałe, skały, pływy, prądy, fale, statki, promy, szybkie motorówki, czyli wszystko to, na co należy uważać żeglując w strefach przybrzeżnych.

Załogę skompletowałem w dość niezwykły sposób. Poprosiłem mojego znajomego, aby mi towarzyszył. Zgodził się nie bez obaw – ostatecznie nigdy nie był na morzu. Po drobnych przygotowaniach poleciliśmy do Bergen. Na miejscu, po sklarowaniu jachtu, wypłynęliśmy w pozornie wspaniałym rejs. Nie wdając się w szczegóły, po wypłynięciu z portu i przepłynięciu paru godzin w „średnich warunkach pogodowych” znajomy uciekł z jachtu. Tym sposobem zostałem sam.

W zasadzie miałem tylko chwile na przeanalizowanie sytuacji i podjęcie decyzji. Pomyślałem, że po 30 latach pływania po morzach i oceanach jest to kolejne wyzwanie, któremu należy sprostać. Zresztą termin, w którym jacht miał się znaleźć w Bodo był już ustalony i jakiegokolwiek opóźnienie związane z szukaniem załogi i czekaniem na ich przylot i przyjazd nie wchodziło w rachubę.

W ten sposób zaczęła się przygoda, która długo zostanie w mojej pamięci.

Na początek musiałem rozwiązać parę spraw technicznych i logistycznych.

Jako że płynąłem jachtem klasy Carter 30 z silnikiem wbudowanym mogłem liczyć na to, że w trudnych chwilach pomogę sobie tym silnikiem. Rumpel usztywniłem liną, którą wybrałem na knagach po obu burtach. Tym sposobem jacht utrzymywał kurs w zależności od ustawienia żagli i siły wiatru, od jednej do paru minut, miałem więc czas, żeby spisać i sprawdzić pozycje lub uruchomić kuchenkę.

Większość trasy przebiegała między wyspami i fiordami, więc nie można było zostawić steru bez ciągłego korygowania kursu. Dobrym rozwiązaniem okazał się patent rolowania grota na bomie. Zrzucanie i stawianie tego żagla nie sprawiało żadnych problemów. Niestety na jachcie nie było rolowanego fokka i każdorazowe manewry z tym żaglem wymagały mojej bytności na dziobie. Zresztą w czasie rejsu parę razy musiałem zmieniać przedni żagiel, a trzy razy szyc „w biegu”. Dla bezpieczeństwa miałem założone szelki asekuracyjne, ale sami wiecie jak one często przeszkadzają.

W związku z tym, że na jachcie nie było pomocy nawigacyjnych, na większą część trasy, przed rejssem kupiłem mapy, ale tylko „generalki”. Kupno map szczegółowych, na tak długi odcinek wiązało się z dużym wydatkiem i niestety nie byłem na to przygotowany. Z tego też powodu, w niektórych miejscach musiałem płynąć na tzw. „intuicje” lub zgodnie z powiedzeniem „płyn za nimi, oni wiedzą gdzie płynąć”. Część trasy prowadziła między skalistymi wyspami zachodniego wybrzeża Norwegii, a część otwartym morzem. Wypływanie z fiordów na otwarte morze jest chyba dosyć niebezpieczne dla małych jednostek, bo widziałem jak jachty i motorówki pokonywały te odcinki w asyście statku ratowniczego w zorganizowanych grupach.

Oznakowanie jest dosyć ubogie, ale wystarczające. Zdziwiająca jest skuteczność oznakowania pochodzącego sprzed ery bojek i latarni.

Ustawione kurhaniki z kamieni i tyczki z prostokącikiem wskazującym bezpieczną wodę mają pewnie więcej niż 100 lat i nadal świetnie spełniają swoją rolę.

Na trasie rejsu mało jest portów i przystani, ale jak już się taki znajdzie, to można być pewnym spokojnego postoju. Większość z nich posiada pływający pomost z wodą i prądem. Przy skoku pływu ponad 3 m, dwa razy na dobę taki pomost daje sporo wytchnienia. Można spokojnie spać nie martwiąc się o luzowanie i wybieranie cum. Rozliczenie za postój polega na tym, że do skrzynki na lądzie wrzuca się stosowną opłatę. Można też wziąć sobie druk wypisanej już faktury i wpisując swoje dane oddać swojemu księgowemu. Oczywiście nie ma żadnego bosmana, stróża, czy pani sprzątaczkę kontrolujących i pobierających opłaty. Paliwo kupuje się na samoobsługowych terminalach. Paliwo do jachtów i łodzi jest tańsze prawie o połowę od paliwa do samochodów.

Pogoda w czasie rejsu była różna. Od deszczu z silnym wiatrem, po którym musiałem szyć żagle, do pięknego słońca, gdzie w spokojnym, baksztagowym kursie mogłem docenić korzyści samotnej żeglugi i zrzucając całe ubranie zażywać kąpeli słonecznych.

Rejs udało się ukończyć w terminie. Na szczęście, oprócz podartych żagli, nie było większych awarii.

Tak to już chyba jest, że każdy nasz „Pierwszy Raz” pozostaje długo w pamięci. Myślę, że i tym razem tak będzie. Jedno wiem na pewno, chciałbym to przeżyć jeszcze raz.

Rejs rozpoczął się 30 lipca 2007 w Bergen, poz. 60 27 N i 005 16 E. Zakończył się 08 sierpnia 2007 w Bodo poz. 67 17 N i 014 22 E. W tym czasie przepląnąłem ponad 700 Mm.

j.k.ż.w. Mirosław Tułodziecki





Zdjęcia pokazują bajkę, w której teraz pracuje :)